№ 46. Warszawa, dnia 2 (14) Listopada 1874 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Od Redakcyi.

Z kończącym się rokiem bieżącym, podajemy do wiadomości, że Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1875, wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, tylko z więcej rozwiniętym programem co do pracy społecznej z systematycznem przeprowadzeniem zasad i warunków w jakich się winna rozwijać, aby przyniosła spodziewane owoce.

Obszerniejsze objaśnienie udzieli prospekt który wkrótce dołączymy, że zaś uporządkowanie ekspedycyi na rok przyszły wymaga wiele czasu i zachodu w przygotowaniu adresów, od czego znów spieszne wysyłanie pierwszych numerów Tygodnika zależy, upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie *wprost do Redakcyi* należytości prenumeracyjnej, gdyż tylko tym jedynie sposobem usunąć można zawód i różne nieporozumienia, jakie zwykle przy pośrednictwie drugich wydarzają się. Prosimy przytem aby o ile można prenumerata przysełaną była przynajmniej półroczna, gdyż według przepisów obowiązujących, należytość za przesyłkę pocztową wnoszoną być musi z góry także półrocznie, nie prenumerujący więc w drugim kwartale, naraża Redakcyą na niepowrotną dość znaczną stratę.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80**

na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie	**rs. 5 — —**
Rocznie	**rs. 10.**

Polecamy przytem Rodzicom, Nauczycielkom i Nauczycielom:

„Przyjaciela Dzieci."

Pismo tygodniowe illustrowane, którego wpływ zbawienny uznany powszechnie na młodych jego czytelników, z każdym rokiem powiększa liczbę jego prenumeratorów. Jest on jedynem u nas pismem tego rodzaju, które bawiąc uczy i wdraża zasady poczciwe zarówno w małe dzieci rozpoczynające naukę czytania, jak i stale uczące się czy to w domu czy w publicznych naukowych zakładach. Przytem cena prenumeracyjna jego jest tak małą, że tylko bardzo ubogie rodziny nie mogłyby się zdobyć na jego zaprenumerowanie.

Co do wpływu zbawiennego pod względem moralnym na młode pokolenie, mamy na to dowody w licznych listach Rodziców dziękujących za poprawę dziatek swych, skutkiem jedynie czytania *Przyjaciela Dzieci.* Do nich więc odwołujemy się: w wielkiem zadaniu społecznej pracy, dobre wychowanie podrastającego pokolenia, jest najważniejszem zadaniem i podwaliną pomyślności społecznej w przyszłości. Teorye bowiem najchwalebniejsze nie wejdą w życie ogółu, jeżeli braknie ludzi do ich wykonania, wszystko zatem co tylko do ich przysposabiania posługuje, chętnie podejmowane być winno. *Przyjaciel Dzieci*, jest jednym z tych środków niezmiernie skutecznych, gdyż bawiąc, uczy, poprawia i wdraża wszystko to, co Rodzice pragną, aby stało się skarbem serca i duszy ich dziatek.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie rs. — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza,** Redaktora Tygodnika Mód i Powieści, i Przyjaciela dzieci, w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956.

POCZĄTEK SŁOWIAŃSZCZYZNY

według dokumentów zebranych i ułożonych

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Część więc Warago-Rusów pędząca od Nowogrodu, podbiła naprzód pod dowództwem Askolda i Dira, Słowian Naddnieprskich podległych Chazaro-Sweonom i udała się następnie do Carogrodu, ale tam doznawszy niepowodzenia w r. 882, naszła Kijów, i w nim się rozgospodarowała.

Nie ścierpiał tego Oleg plemiennik Ruryka wezwany z braćmi przez Nowogrodzian do rządu, i jako opiekun małoletniego jego syna Igora, przed rokiem 884 zająwszy w imieniu swego pupila Kijów, przemyśliwał tylko nad tem, jakby pozbywszy się Waragów do których należał, przywieść pod swą władzę wszystkie dawniejsze i nowe posiadłości Chazaro-Swewno-Rusów i z nich utworzyć wielkie na południu Nowogrodzkie Ruskie państwo.

Pragnienie to pozbycia się Waragów było bardzo uzasadnione. Nazwa ich pochodzi od wyrazu *wargs* z którego przez przekładnią *wrag* powstał. Wyraz gocki *wargs* znacząc łotra, przybysza i t. p. przystał dobrze do rozbójnika lądowego i morskiego, który głównie Baltyckie morze niepokoił. Rusowie przybrawszy ich z potrzeby do pomocy, dzielili się z nimi zdobyczą jak lew według znanej bajki polujący wspólnie z innemi zwierzętami, czyli jak silniejszy ze słabszym. Gdy więc Oleg zabierał kraje, osadzał je swoim ludem i według Nestora płacił osiadłym w Nowogrodzie corocznie trzysta grzywien. To samo czynili następcy jego aż do Jarosława który umarł w r. 1054. Tym to sposobem Waragowie skupiając się coraz więcej na zachodzie i północy, coraz mniej wspominani byli na wschodzie czyli na Rusi i kiedy wreszcie miano Rusi i Rusinów ustaliło się między Słowianami, miano Waragów wyszło zupełnie z użycia.

Mimo tego Ruś Nowogrodzka i Naddnieprska przez niejaki czas ku Skandynawji ciężyła, ale od chwili przyjęcia przez nią chrześcijaństwa, naleciałości z tamtąd naszłych tak w imionach osób jak nazwach miejscowości mało dopatrzysz.

Dowód na to pomiędzy innemi stawiają i nazwy dnieprowych progów, z których czysto słowiańskie i bardzo stare były ciągle w obiegu, a skandynawskie szły w zapomnienie.

Wczasie tych przewrotów politycznych, lud tych okolic słowiański przezwany Rusinami, unikając klęsk wojennych uciekał po za Dniepr w góry i na równiny ówczasowej Małopolski, nazwy swej jednak nie zatracał i utrzymywał ją stale, a przyjęty gościnnie jako jednoplemiennik choć pod narzuconą nazwą występujący, zatrzymał ją aż do dnia dzisiejszego. W okolicy źródeł leczniczych Krynicy i Szczawnicy, znajdujący się Rusini jeszcze od czasów napadów tatarskich w wieku XIII przesiedleni, dotąd mianują się Rusinami i nikt im tej nazwy nie zaprzecza. Przyjaźń ta ciągle się utrzymująca tak nawet na chwilę nie była zakłócona, tak nie zmieniała duchowego Słowian braterstwa, że gdy kronikarz Nestor Przemyśl i Czerwień lackiemi nazywa grodami, Mateusz kronikarz polski, ruskimi je mianuje. Jak zaś braterstwo to łączyło Naddnieprskich Słowian z Nadwiślańskiemi Polanami i Nadłabańskiemi lepiej jeszcze poświadcza jedność godeł, jakich różne części ziemi Słowiańskiej używały i nazwy miast powtarzających się tu i owdzie. I tak, Meklenburgczanie czyli Nadłabańscy oraz Nadwarteńscy Wielkopolanie, używali godła wołbie wolim, i tegoż samego używało dawne województwo Kaliskie wchodzące w skład Wielkopolski, i państwo Wołowskie które koronie blisko przez trzy wieki hołdowało. Oprócz zaś naddnieprskiego Kijowa, były jeszcze nadłabańskie, wielkopolskie i morawskie Kijowy, wymieniane przez różnych kronikarzy niemieckich, polskich i czeskich.

U Słowian zatem Naddnieprskich ustalała się nazwa Rusi i Rusinów, a u Słowian od zachodu nazwa Polski i Polaków, zaczęła występować na widownią polityczną, a to z tego powodu, że Mieszko Piastowicz otrzymawszy udział w Polistach po nad Wisłą i Wartą mieszkających, którzy znani byli pod nazwą Polanów, wsławił się męztwem i roztropnością. Nazwa więc ludu któremu przewodził, podniesiona do znaczenia politycznego, pomału wszystkie inne zaczęła zacierać, jak Nadnarwlan, Wiślan i t. p. Sama tylko nazwa Mazowszan jakiś czas się utrzymywała, a nawet książęta ich Masław a później Konrad, zapragnąwszy nadać im powagę polityczną zrywali się do oręża.

Brakło im jednak utalentowanych przewódzców, rozumnego duchowieństwa dbającego o narodowe wychowanie i mężów politycznych, których właśnie posiadali Polanie. Lepsze ich pod tym względem wyrobienie się od dawna znane było między Łużyckiemi ludami, dla tego nazwy innych nie tak błyszczącą w historyi jak Bolanów czyli Polan.

Zkąd powstały chwilowe nazwy Lachów i Lechji, to wyjaśnione zostało jak najdokładniej przez p. W. A. Maciejowskiego, z wykazaniem płonności dowodów Szajnochy, który Lachom i z nich powstałej szlachcie nadawał z wielkiem zadowoleniem niemieckich uczonych, pochodzenie od Normanów.

Zostając uczony nasz badacz z Józefem, Pawłem Szafarzykiem w listownej korespondencyi, zapytany został przez niego, dla czego w jednem z dzieł swoich oddzielił Lachów od Polan, jakby ci nie byli jednego z sobą szczepu. Dane mu objaśnienie, że nazwa Lachów pochodzi od roli obrobionej nazywanej *lechą*, a Polanie od pola dopiero pod uprawę zajętego miano swe wzięli, trafiło do przekonania uczonego męża gdyż jedności słowiańskiej nie rozrywało, ale jednocześnie zrobił tenże uwagę, że pojmując dla czego miano Polan ludowem się stało, nie może zrozumieć, dla czego miano Lachów pozostało książkowem, dla czego Polska zwała się krótko państwem Lackiem, i dla czego wreszcie Czechy o Lachach jako narodzie nic nie wiedzą, a Rusini Polaków Lachami nazywając ciągle, a nawet dzisiaj z pewną niechęcią nazwy tej używają?

Była to nowa kwestya, w której rozwiązaniu p. W. A. Maciejowski nie znajdując nigdzie pomocy, udał się jak powiada po wytłomaczenie tej zagadki do jedynej swej wyroczni historyi i odpowiedź jaką mu dała jest tej treści.

W pierwszym rozwoju gmin Polistów, obszar roli wydzielał sobie każdy i oznaczał granicami, aby mu jej kto inny nie zabrał. Gdy ludność wzrosła, gmina wydzielała rolę i łąkę w ilości niezbędnej na utrzymanie rodziny i wydziały takie zwały się *Lecha*, *Liecha*, którą to nazwę słyszeliśmy w Sandomierskiem przed niewielu latami. Nie oznacza ona stałego wymiaru, może nawet w ustach ludu zupełnie obecnie zaginęła, dość że często słyszeliśmy, jak na zapytanie jak wiele gdzie w jakim miejscu pozostało roli do uprawy lub zasiewu, włościanin ci odpowiadał:

— Ej! nie wiem jak wiele, ale spora jeszcze *lecha* została.

Według też różnych słowiańskich narzeczy i ich słowników, wyrazy *Lach*, *Ljech*, *Ljach* oznaczając człowieka pracującego w polu, a *lecha* oznacza ziemię, przygotowaną do siewu, czem różni się od *pola* ugorem leżącego. Rolników więc na lechach osadzonych nazywano *Lachami*.

Kiedy po rozprzężeniu rzeszy Swewskiej, Saksonowie przybywszy ze Skandynawji, kraje zajęte według swego porządku urządzali, ludność całą podzielili na trzy klasy i w najniższej pomieścili owych Lachów zowiąc ich *Lazi* czyli *Lasi*. Mimo tego owi Lasi uważani byli za wspól obywateli, należeli do wszelkich narad nad dobrem kraju, i corocznie razem z Saksonami zbierali się na polach Marklo za rzeką Wezerą położonych. W miarę powstawania silniejszej władzy i wzmagania się stanów uprzywilejowanych, *Lasi* tracili swe dawne prawa i uznani wreszcie zostali za poddanych a nawet za niewolników.

Podobna niesprawiedliwość i w innych stronach w których Słowianizm pochłaniali skandynawscy przybysze, dotknęła takich samych osadników rolnych, wszyscy więc owi Lachowie uchodząc przed prześladowaniem, za Elbą i Wartą szukali dla siebie bezpieczniejszej siedziby i osiadając w Wielkopolsce zwali się zawsze po dawnemu Lachami.

Pomału Lachowie ci powiększając się w liczbie, utworzyli jakby stan oddzielny, a że żyjąc przedtem pod przemocą Teutonizmu, znali dobrze jego potęgę i wiedzieli że tylko skupieniem się zdołają mu skuteczny opór postawić, wpłynęli na przyjęcie formy monarchicznej i ustanowili jakby pierwszą dynastyą znaną w historyi pod imieniem Leszków czyli Lachów. Wprawdzie pod względem politycznym był to postęp, ale nie wyrosły z ducha Słowianizmu: nic więc dziwnego że ludności całej nie bardzo się podobał, tymbardziej, że Lachowie owi dłuższym pobytem między obcemi plemionami, zmienili się w pojęciach czysto słowiańskich, i wojaczki z zaborem byli wielkiemi zwolennikami.

Przez czas więc ich panowania państwo zwało się Lackiem, a obce ludy nie znając właściwego znaczenia nazwy Lachów, brali ją za jednoznaczną z Polanami. Ponieważ więc panowanie tych Leszków było tylko cierpiane z wielką niechęcią, niektórzy więc rolnicy nie mogąc się z niem pogodzić usuwali się w głąb Rusi i tam zanieśli wiadomość o Lachach nie bardzo zapewne dla nich przychylną.

Ztąd niechęć do tej nazwy i tam się upowszechniła i przeszedłszy w tradycyą, ożywiła się na nowo przy późniejszych sporach religijnych. Wreszcie z upadkiem Leszków i powołaniem rolnika Piasta do władzy, nazwa Lachów i Lechji zaginęła, mimo tego była ona czysto słowiańską i byłaby się może utrzymała, gdyby Leszkowie tak jak Piastowie umieli sobie zjednać przychylność ludu którym władali.

Tak więc dzięki pracy p. W. A. Maciejowskiego, wyjaśniony został zawiązek Słowiańszczyzny, jej pierwiastkowe rozpostarcie się, następnie skupienie i wytworzenie Polski i Rusi.

Najstarsi nasi kronikarze głęboko się nad tym przedmiotem zastanawiali, ale daremnie.

Gallus zmarły w r. 1119 a Mateusz w r. 1166 dzieje początku Słowiańszczyzny pominęli zupełnie. Późniejsi a mianowicie Boguchwała zmarły w roku 1253 i wszyscy którzy przed Długoszem w dziejach tych szperając pracowali: nie dopięli swego celu. Adam Naruszewicz opuścił te dzieje i opowiadanie zaczął od Mieczysława Piastowicza. Znalazł się wprawdzie pozostały po nim rękopism dopełniający co opuścił, ale praca ta okazała się małej wartości.

Lelewel studyi w tym kierunku nie doprowadził do końca, i nie uznał wywodów Augusta Bielowskiego, który w wydanym przez siebie monumentalnem dziele pomników historyi Polski dotyczących, zebranych z pisarzy swoich i obcych, obecnych niemal jej tworzeniu i rozwijaniu się, rozpoczął je z szóstym wiekiem dopiero, a to z tej jak się wyraził przyczyny, że dawniejsze nie doszły nas w autentykach, i że przed wiekiem szóstym żadnych pomników do historyi tej nie posiadamy. Pan W. A. Maciejowski wykrył je jednak ale poszedł inną drogą niż jego poprzednicy; gdy bowiem historye innych narodów w wojactwie brały początek i tem samem rozpoczynały się od przewodzców ich głównych wsławionych orężem, Słowianie nie mieli ich stałych tylko chwilowo w razie nagłej potrzeby powołanych do władzy, i rozwijali się tylko pod godłem właściwych sobie urządzeń społecznych, praw i zwyczajów odrębnych nieznanych innym ludom.

d. n.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

Noémi spojrzała na nią i zimno odpowiedziała.

— Jeżeli heroizm Paryża tak dalece panią oburza, powinnaś była od dawna Paryż opuścić.

— Ha! wierzę w opiekę Boską, i tu zostaję — odpowiedziała Anna nie zważając, lub udając że nie zważa jak Noémi z niecierpliwości tupie nogą.

— Zostawajże sobie, kiedy ci się podoba. Jak się ten człowiek nazywa?

— Dymisyonowany kapitan Hieronim Michél.

— Mieszkanie?

— Ulica Cuvier.

— Którego dnia został zamknięty w Mazas?

— Wczoraj, między drugą a czwartą.

— Dobrze: wieczorem pomówię o tem ze stryjem dziś właśnie mamy sesyą. Adieu, interesa przedewszystkiem.

— Adieu — rzekła Anna i dziękuję.

Wstała i skierowała się ku drzwiom.

Odwróciwszy się, spostrzegła pannę Noémi, która bawiąc się ze swym rewolwerem, machinalnie szła za nią.

— Nie zostawaj w Paryżu, Anno —rzekła Noémi głosem znacznie złagodzonym.

— A jednak ty zostajesz Noémi — odpowiedziała Anna.

Noémi dumnie się uśmiechnęła.

— Ja jestem jak kamień z procy wyrzucony — rzekła ona — musi on dolecieć do celu, a zresztą, ja nie mam się czego bać od rewolucyi tryumfującej.

— Czy długo będzie ona tryumfującą, Noémi? — wyrzekła Anna głosem wolnym.

— Będzie nią zawsze! wiecznie tryumfować będzie! — z uniesieniem odpowiedziała Noémi.

I odwracając się szybko, udała się ku drzwiom przeciwnym, i weszła do wielkiego złoconego salonu w którym p. Eugeniusz Drassart rozmawiał w gronie kilku osób w mundurach.

Panna Noémi usiadła przy stoliku pokrytym papierami i dziennikami, i poczęła rozpytywać o przedmiot rozmowy.

Ruchy wojenne i polityczne intrygi w Ratuszu, stanowił główny wątek tej ożywionej rozmowy. Jedni z tych ludzi, jak to można było widzieć po ich postawie, stroju, sposobie bycia i całem obejściu się, świeżo byli wyszli z nowego stronnictwa, inni znowu, jak i sam pan Drassart, byli to ludzie drugiego cesarstwą, na rewolucyi zaszczepieni jeśli się tak wyrazić można, którzy postępowali za jej rozwojem nie namiętnie, lecz z ostrożnością, losów swoich bynajmniej z jej losami wiązać nie myśląc.

Zresztą w salonie tym panował ruch nieustanny, jedni wychodzili, wchodzili drudzy, inni po razy kilka wracali; wracający prawie bez wyjątku dopytywali się, czy pan Marcelli Drassart dał nareszcie znak życia. W chwili gdy oświetlono salony, weszła i pani Drassart. Biedna kobieta przywdziała wprawdzie jedną ze swych świetnych toalet, lecz niepokój jej umysłu widny był nawet w jej stroju; bransoletki na wspak przypięte były, kokardy końce swe miały do góry zwrócone, jedna strona twarzy starannie wygładzona i ubielona, a na drugiej widniały głębokie zmarszczki codzienną troską wyżłobione. Siedząca na samym brzegu fotelu, z głową w ciągłym ruchu będącą, niby jak chorągiewka na dachu, z okiem niespokojnem, z nadstawionem uchem, wybornie obraz Trwogi przedstawiać by mogła.

— Wszyscy pytają o Marcellego; gdzież jest Marcelli? — przemówiła nagle — nigdzie go nie widzę, a jednak obiad jadł z nami: wszak prawda?

— Nie, mamo odpowiedziała Noémi z za swego bióra.

— To dziwne!... a mnie zdawało się nawet żem mu mówiła... Więc jakże?... nie jadł z nami obiadu, nie jadł z pewnością?

— Ależ tak jest. Mój stryj przez cały dzień się tu nie pokazywał, co nas wszystkich bardzo dziwi i nawet trochę niepokoić zaczyna. Mamy bardzo ważne raporta do doręczenia jemu; artykuł wstępny naszego dziennika także nie oddany do drukarni. My toż samo, nie możemy bez niego deliberować i decydować co do niektórych artykułów; ja nie mogę wytłómaczyć sobie ani tego opóźnienia, ani tej nieobecności. Ósma bije; to doprawdy rzecz niepojęta.

Właśnie gdy wymawiała ostatnie słowa, drzwi się otworzyły i wszedł pan Marcelli Drassart.

XXIX

JAWNE ZBIEGI.

Wejście Mefistofela powitane zostało prawdziwemi okrzykami radości, które on przyjął ze zwykłą sobie obojętnością, zbyt blisko z pogardą graniczącą.

— Stryju, pierwszy to raz dajesz na siebie czekać — rzekła Noémi ściągając czarne brwi swoje w sposób bardzo znaczący.

— I to będzie ostatni, piękna synowico — odpowiedział on ze szczególnym uśmiechem; — coście robili pod niebytność moją?

— Nic zgoła; rada czekała na swego prezesa.

— Ty powinnaś była mnie zastąpić.

— Z trudnością — odpowiedziała Noémi; — lecz ponieważ jesteś, bierzmy się zaraz do spraw bieżących, czas drogi.

Pan Marcelli spojrzał na zegarek.

Mojem zdaniem jest aby posiedzenie odłożyć do jutra; zapóźno już rozpoczynać rozprawy o rzeczach ważnych.

Panna Noémi aż rzuciła się na krześle swojem.

— W tych czasach odkładać sesyą, stryju! — zawołała — jak możesz myśleć o tem? Czyż teraz dnie nie są wiekami a dniami minuty?

— Lecz kiedy wszystko idzie dobrze; donoszą nam o nowem zwycięztwie przy bramie Saint-Cloud.

Na tę wiadomość, obecni mężczyzni skupili się w około pana Drassart i poczęli zasypywać go pytaniami.

— Podałem wam wiadomość, ale szczegółów dać nie mogę; zapewne już teraz szczegóły krążą po mieście, kto ciekawy niech idzie po nie.

— Czy to na cześć zwycięztwa tak wykrzykują na ulicy?— zapytała pani Drassart, z widoczną niespokojnością ucha nadstawiając.

Panna Noémi wstała i wyszła z salonu; lecz prawie natychmiast wracając:

— Stryju — zawołała — pod naszemi oknami ogromne zbiegowisko; lud wielkim głosem domaga się abyś mu się ukazał.

Pan Marcelli pobladł, lecz kręcąc swe długie rude wąsy rzekł z lekkim odcieniem szyderstwa:

— I czegóż ten zacny lud chce ode mnie? Na prawdę, wcale co innego mam do roboty jak z balkonów parlamentować z panem ludem.

Noémi wyszła po raz drugi i wróciła cała zdyszana.

— Krzyczą na zdradę — rzekła ona drżąc z oburzenia;— chcą cię widzieć koniecznie. Ja mówiłam delegowanemu przez nich wysłanemu, że jesteś bardzo zajęty, lecz oni wszyscy krzyknęli: „niech się pokaże! inaczej pomyślemy że się chowa albo wyjechał.“ A wiele głosów wołało: Śmierć zdrajcy! Na śmierć zbiega!“

— Hm! nie bardzo wygodny ten ludek — rzekł Pan Marcelli biorąc za kapelusz; — dziś jeszcze, wykonałem uroczystą przysięgę że go nie opuszczę nigdy a już wieczorem rzuca mi się do gardła; ho! ho! to pan co dobrze umie trzymać sługi swoje!... Obywatele, chwilę cierpliwości jeśli łaska, zaraz wracam.

Wszedł do drugiego pokoju, do którego za nim i Noémi wyszła, a otwierając wielkie drzwi oszklone ukazał się na balkonie. Rzeczywiście gęsty tłum ludu zalegał ulicę, a na jego czele postępowali ci ludzie złowrogiej fizognomji, o brudnych skłaczonych kudłach, o błędnem lub dzikiem spojrzeniu, o ruchach błazeńsko dramatycznych, którzy jakoby wyrastają z Paryzkiego bruku za każdym podmuchem rewolucyjnego wiatru.

Mefistofel powiódł swym zimnym wzrokiem po tej żyjącej massie, która się ludem mianowała, i nisko się skłonił aby nie dostrzeżono źle ukrytego uśmiechu pogardy.

Przeciągły okrzyk powitał jego ukazanie się na balkonie.

— Obywatelu — odezwał się jakiś atletycznej budowy olbrzym w mundur ubrany — pogłoski o zdradzie rozpuszczono na ciebie, radzi jesteśmy że będziem mogli zawstydzić twych nieprzyjaciół, przebranych Wersalczyków, o czem teraz wątpić nie można. Ja byłem delegowany aby cię oto zapytać, ale ponieważ tu jesteś, nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Niech jeszcze raz przyrzeknie że nie opuści Paryża! — ryknęła zgraja.

— Wszak słyszysz obywatelu? — przemówił olbrzym — lud żąda od ciebie formalnej obietnicy; czy dajesz ją?

— Daję! — zawołał pan Drassart mocnym głosem.

I dodał, potrząsając nad głową swym kapeluszem;

— Niech żyje Paryż! niech żyje komuna!

— Niech żyje Drassart! — wrzasnął tłum cały.

Układny dworak skłonił się raz jeszcze i cofnął się z balkonu, właśnie przy pierwszych wyciach tłumu rozpoczynającego śpiew *Marsylianki*.

Noémi poprzedziła stryja swego do salonu i opowiadała, z całym entuziazmem opisowym, to czego była świadkiem.

Ukończywszy to opowiadanie, wróciła na dawne miejsce za szerokiem biórem i zajęła się ekspedyowaniem niektórych bieżących interesów. Wokoło niej, mężczyzni palili cygara, rozmawiali, na głos się śmieli; lecz ona, otoczona przez kilku fanatyków, zapuszczała się w kombinacye strategiczne, lub w najzawilsze ekonomiczne kwestye, które jej bystra inteligencya szybko przyswajała sobie przynajmniej powierzchownie. Mefistofel z cygarem w zębach, niedbale przeglądał drukowane korekty, które mu Noémi podawała, lecz w rozmowie nie brał udziału. Często spoglądał na zegar kominek ozdabiający i porównywał wskazaną godzinę ze swym kieszonkowym zegarkiem, a dreszcze niecierpliwości przebiegały po jego ciele.

W miarę jak godziny nocne postępowały, nastąpiło kilka dezercyi, i za każdym razem jak który brat i przyjaciel żegnając się rękę mu podawał, widoczne okazywał zadowolnienie.

Od pewnego czasu spoglądał on ukradkiem i z niecierpliwością źle tajoną na młodziutkiego, gołowąsego generała, który siedział zbyt długo, a gdy wyszedł nareszcie, pan Marcelli wstał szybko, doszedł

do drzwi, na klucz je zamknął i wrócił do stołu, przy którym siedzieli oboje państwo Drassart i dwóch panów, którzy zdawali się mieć widoczną przewagę i wpływ nad wszystkiemi osobami które przed chwilą salon opuściły.

— Nareszcie, jużeśmy się pozbyli tych wszystkich nieznośnych gadułów — rzekł on zakładając palce w kieszonki swej kamizelki; — jakiż to wieczór nieskończony! Byłem po prostu jak na ruszcie, myśląc że mamy zaledwie kilka godzin aby się ratować.

Wszyscy obecni zdawali się dobrze go rozumieć, oprócz jednej Noémi, która utkwiła w niego swój wzrok ognisty i rzekła dojmującym głosem!

—Co znaczą te słowa, stryju?

— Znaczą, że potrzeba nam jak najspieszniej Paryż opuścić; trzymać się on już nie może, a dla ludzi jasno rzeczy widzących, oczywistem jest, że rewolucya zwyciężona.

— Zwyciężona!—zawołała Noémi z krzesła się porywając.

— A tak, zwyciężona—zimno odpowiedział Mefistofel — Wszyscy ci wściekli krzykacze dość dobrze byli zorganizowali rewolucyą, i dostały im się w ręce przepyszne środki działania, tak że ja sam, przyznaję, przez chwilę wierzyłem w powodzenie. Sądziłem że rząd uda się zeskamotować; rząd zeskamotowany, wielkie miasta byłyby poszły za ruchem paryzkim, i my bylibyśmy zostali panami położenia; na nieszczęście Zgromadzenie Narodowe usunęło się, i z Wersalu bardzo dobrze zarządza Francyą; mam dowody że powstanie na prowincyi nie udaje się wcale, wiem także ze źródeł pewnych, że armja Wersalska się formuje i nigdy bratać się nie będzie z naszemi federalistami; a więc przewiduję przegraną.

— Przegraną! — zawołała Noémi która cała wrząca stojąc słuchała.

— A tak, przegraną. Po co się łudzić? Na zewnątrz wszystko jest przeciw nam, a wewnątrz, do wódzcy gryzą się między sobą. To trwać będzie przez pewien czas, którego dokładnie oznaczyć nie mogę, lecz w każdym razie nie długo.

— Ta mowa mnie dziwi, zdaje mi się, że więcej nawet aniżeli oburza — powiedziała Noémi; — Paryż nie podda się nigdy; zagrzebie się prędzej pod ruinami swemi!

Mefistofel zaśmiał się pogardliwie.

— Nie wiem co uczyni Paryż gdy będzie oblężony z ulicy w ulicę, w każdej z kolei barykadzie — odpowiedział on; bardzo być może że skończy na saturnaliach demokratycznych wcale niespodziewanych a okropnych. Ja czuję potrzebę usunięcia się przed temi ostatniemi aktami dramatu, a ponieważ nawet już teraz zaprzeczają mi wolności wyjazdu, więc póki czas, spieszę jej użyć sobie. Ci którzy do jutra tu zostaną bardzo będą mogli pozostać aż do ostatniego zawalenia się pod gruzami, jak to synowica moja przepowiada.

Na te słowa, dwaj obecni panowie poczęli szukać swych kapeluszy z rozrzewniającą zgodnością.

— Panowie! panowie! wyjeżdżacie —krzyknęła Noémi wyciągając rękę z gestem rozkazującym — opuszczacie Paryż! Nie! wy nie popełnicie podobnej nikczemności! Paryż jest niezdobyty! Zapominacie chyba że mamy w ręku naszym czterykroć sto tysięcy karabinów, dwa tysiące dział, sześć fortów i wały potężne?

— Cóż z tego, jeśli partya stracona? — odpowiedział jeden z dwóch panów już niedaleko drzwi będących.

— A kiedy partya przegrana, to moja pani, gracz od stolika wstaje — dodał drugi.

I skłoniwszy, się wyszedł za swym towarzyszem.

Noémi wstrząsnęła się cała.

Ależ to ohydnie! — zawołała — własnym uszom oczom wierzyć nie mogę! A gdyby i partya ostatecznie przegraną była, czyż powinniśmy uciekać? Mówiliśmy, pisaliśmy, poruszaliśmy masy, braliśmy udział w ich powstaniu przez wszystkie możebne środki działania: ruch się powiódł, rewolucya się udała, a teraz z nieuzasadnionego nawet zniechęcenia, opuszczalibyśmy Paryż, a dotego jeszcze w dzień zwycięztwa!

— A prawda, zwycięztwa przy bramie Saint-Cloud — szydersko zaśmiał się Mefistofel; — moja biedna Noémi, takie zwycięztwa na papierze figuruje tylko, ale nie w polu.

— Więc chyba nas oszukują?

Mefistofel wzruszył ramionami i zapytał brata:

— Czy rzeczy twoje już upakowane?

— Od dawna; — odpowiedział tenże; — którym pociągiem wyjeżdżamy?

— O piątej; innego nie ma. Powozy kazałem przygotować, zaraz musimy być na banhofie. Za pół godziny bądźcie zupełnie gotowi. Ja jeszcze przebrać się muszę, aby mnie nie poznano. Ten krzykliwy ludek Paryzki który mnie ubóstwia, gotów mnie gwałtem zatrzymać gdybym został poznany, a kto wie, i rozszarpać może.

Kiedy to mówił, Noémi chodziła po pokoju, z ruchami lwicy w klatce zamkniętej.

Nagle zatrzymała się przed Mefistofelem, i z ust jej posiniałych od gniewu wyrwały się te słowa.

— Ty nie pojedziesz!

— Pojadę, i ty także.

— Ja! nigdy! Ależ to podłość! ohyda! Macie przed sobą powódź ludzką którąście poruszyli i widziałam jak zakładaliście ten dziennik, widziałam jak podkładaliście te miny prochowe, jak rozniecaliście ogień: wierzono wam i cóż dziwnego że zapragniono w czyn wprowadzić ułudne teorye, które wasza inteligencya na pastwę rzucała? A teraz uciekacie, opuszczacie wszystko i to w tym samym dniu kiedyś wykonał przysięgę nie ustąpić nigdy ze swego stanowiska! To nikczemnie, stryju, i ty nie zrobisz tego!

— Noémi, jesteś szalona—odpowiedział Mefistofel żżymając ramionami:—każdy człowiek inteligentny, przyjaciel własnych interesów, dopomaga zachciankom ludzkim, nawet wywołuje je czasem, to pewna; lecz to już do nas należy, umieć powstrzymać wypadki i przełamywać opory. Ta awantura zapowiadała się dobrze, ja poszedłem za prądem spodziewając się zawsze, że zjawi się nam człowiek który pochwyci i ureguluje na korzyść naszych interesów, rozbudzone i poruszone siły społeczne. Człowiek ten nie przyszedł, i my teraz znajdujemy się w obec gromady dzikich bestyi rozkiełznanych; nic nam nie pozostaje jak starać się wydobyć z ich szponów, i ja to właśnie chcę uczynić.

— A to jest właśnie, czego ja nie zrobię! — zawołała Noémi; — jedźcie, ja zostaję!

— Noémi! — odezwał się pan Eugeniusz Drassart bledniejąc.

— Córko moja!—zawołała pani Drassart rzucając się na jej szyję.

— Zostaję — powtórzyła Noémi uwalniając się z objęć swej matki;—jedźcie, jedźcie wszyscy, ja zostaję!

Mefistofel zwrócił się do brata.

— Wszak widzisz, dobrzem ci mówił, ona dostaje obłąkania.

Noémi popatrzyła na niego oczyma z których pogarda tryskać się zdawała.

— Och! jakże mi się podłym wydajesz!—wymówiła ze zgrozą.— Idź, uciekaj! Co do mnie, będę miała przynajmniej to najwyższe szaleństwo, pozostać w zgodzie z zasadami które mi dałeś. Nauczona przez ciebie, wysławiałam je i dawałam z siebie przykład bezbożności, nienawiści, lekceważenia wszystkiego i pragnień nienasyconych: zostanę więc z temi z któremi dzielę moje przekonania.

— Noémi, zaklinam cię!—zawołał ojciec zbliżając się do córki.

— Błagam cię Noémi!—wołała matka chwytając się jej sukni.

Noémi, z licem rozognionem, z oczyma ostro utkwionemi w Mefistofela, odpowiedziała rodzicom energicznem tylko wstrząśnieniem głowy.

— Słyszę zajeżdżający powóz — rzekł Mefistofel biorąc swój kapelusz.

— Ach! zaczekaj na nas, Marceli!—zawołała pani Drassart odstępując od córki a biegnąc za bratem.

— Czekać? niepodobna--rzekł on.

— Kilka minut tylko! Noémi pojedzie z nami, nie zechce być zapewne przyczyną mojej śmierci!

Pan Marceli zwrócił się do Noémi:

— Jedziesz? — zapytał.

— Nie!

— Wszak słyszysz Maryo; i cóż myślisz czynić?

— Albož ja wiem? Czekaj jeszcze.

Niepodobna; już i tak nie jestem pewny czy mi się uda wyjechać z Paryża, nieufność ich rozbudzona. Za kilka godzin chyba bym musiał balonem wylecieć. Jedź czy zostawaj, to już rzecz twoja, to rzecz Noémi; co do mnie, jedę zaraz. Pamiętaj Eugeniuszu mój adres: Londyn, Oxford street, 104.

Wziął kapelusz, wdział paltot i już ode drzwi, jakby co ważnego zapomniał, zwrócił się nagle do swej bratowej.

— Maryo—zapytał—czy Eugeniusz ma jak zwykle, znaczny zapas cygar? Chciałbym wziąść trochę. Zmuszony jestem do wielkich ostrożności, w drodze nie mógłbym kupować jak tylko pospolite cygara.

Pani Drassart korzystając z tej okoliczności aby choć przez chwilę jeszcze go zatrzymać, pobiegła do małej skórzanej walizki, otworzyła ją i wróciła mając ręce pełne doskonałych najprawdziwszych hawanów.

— Oto masz Marcelli cygara.

I dodała ciszej, płacząc i trzymając go za rękaw paltota:

— Przemów jeszcze do Noémi, zaklinam cię, pomów z nią!

Mefistofel wziął cygara, ułożył je metodycznie w swej cygarnicy, potem postępując parę kroków ku Noémi i wpatrując się w nią jakby chciał spojrzeć w głąb duszy:

— Czy ta tragi-komedya skończona? zapytał; — Jedziesz z nami?

— Nie!—odpowiedziała Noémi głosem stanowczym i silnym.

Z politowaniem spojrzał na brata, odwrócił się nagle i wyszedł.

W pół godziny potem, powóz który czekał w dziedzińcu, wyjechał wioząc niższego urzędnika kolei zachodniej, pod którego kaszkietem z małym daszkiem i srebrnym poczerniałym galonkiem, z trudnością można było rozpoznać twarz Mefistofela, z rudą brodą w doskonale czarną zamienioną. *d. c. n.*

SZCZĘŚCIE.

Bogaty! złoto u niego jak ziarno
Na plennej roli skarb z siebie wyradza,
Każda jednostka tysiące rozpładza,
Za tysiącami miljony się garną.
On został panem swego przeznaczenia,
On złotem płaci rozkosze, uciechy,
Pochlebne słowa, fałszywe uśmiechy;
Kupuje wszystko, prócz czci i sumienia.
A szczęście? Szczęście nie w złocie się pleni,
Blask kruszcu światłem nie zaskrzy wśród cieni.

Potężny! Korne przed nim chyli czoła
Ludzi tysiące. Wielki nad wielkiemi
Stoi pomnikiem na prochach tej ziemi:
Nikt bark kolosu przerosnąć nie zdoła.
Tłum drży przed każdym ust jego wyrazem;
Drży, bo w nim wielbi potęgę rozumu:
Mig jego oczów jest prawem dla tłumu,
Wyrocznią słowo, zachcenie rozkazem.
A szczęście? Szczęścia promień tam nieznany
Gdzie olbrzymieją wśród karłów tytany.

Sławny! wielkiego nazwiska rozgłosem
Brzmią ciche wioski, i gwarliwe miasta,
Imię to wszędzie: zna je mąż, niewiasta,
Nieletnie dziecko, starzec z siwym włosem.
Nie jemu marnieć w zakreślonym bycie
Istnienia tworów: dłań ogromem cieśnie,
Wiekami lata, kwiatem mogił pleśnie;
On sławą zdobył nieśmiertelne życie.
A szczęście? Szczęścia rozgłos nie rozbudzi:
Ztajone milczy wśród oklasków ludzi.

Uczony! wszystkie tajnie świata zbadał,
Przeniknął myślą okresy tworzenia,
Okradł z barw tęczę, a gwiazdę z promienia;
Wie jak się ogrom sfer słonecznych składał.
Dumny swą wiedzą czci w sobie wybrańca
Nauki, którą pracą zdobył własną;
Życie dłań krótkie, ziemia jemu ciasną,
Gdyż poznał wszechbyt od krańca do krańca.
A szczęście? Szczęście nie mieszka w rozumie:
Mało ów czuje który wiele umie.

Gdzież szczęścia szukać? o! nie w kruszcach blasku,
Nie w niklej świata marnego potędze,
Nie w wypisanej ludzkim umem księdze,
Ni w czczym uwielbień i hołdów oklasku;
Ono w nas samych: wiara je wyradza,
Rozplenia łaska, podtrzymuje cnota,
Skarbów nadziei chroni arka złota,
Miłość do źródeł przedwiecznych sprowadza;
A kto się wyparł Ojca swego w Niebie,
Ten z prochów ziemskich szczęścia nie wygrzebie.

Ludwik Niemojowski.

Radoszewice d. 30 Czerwca
1874 r.

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj
przez
SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wspomniawszy o napisie wzbraniającym stawania zewnątrz pojazdów, muszę mimowolnie schłostać panów Amerykanów za rubaszny sposób wyrażania się. Każdy napis tutejszy brzmi przeciw prawom wszelkiej grzeczności.

I tak zamiast pisania *please not to touch* (proszę nie dotykać) piszą tu *hands off* (precz z rękami), zamiast ostrzegania iż upraszamy publiczność by nie opuszczała wnętrza powozów, grożą że konduktor ma prawo wpędzać osoby stojące na galeryi do pojazdu. Na stacyach kolejowych, gdzie nie ma sal dla pierwszej i drugiej klassy lecz tylko dla dam i mężczyzn, wzbraniają palenia tytoniu w damskiej sali temi słowy: „Kto tu palić się odważy, za drzwi go wyrzuci odźwierny.“ U nas poruczają drzewa i kwiaty w parkach opiece publiczności, tu wprost grzywnami grożą. Snać Amerykanie prześcignęli Anglików w tak zwanej *bluntnesf* czyli nie obwijaniu prawdy w bawełnę.

Niedbając co tam piszą, stałem przez większą część nocy na galeryi i patrzyłem na wspaniałą rzekę, osrebrzoną blaskiem księżyca. Okienka żaglowców, parowców, snujących się po gładkich wodach, iskrzyły się długiemi rzędami czerwonych światełek. Po obu stronach rzeki, ciągnęły się pasma gór okrytych ciemnemi borami. W miejscu gdzie tak zwane Catskill mountains biegną tuż wzdłuż zachodniego wybrzeża, najbardziej malownicza część Renu nie wyrówna Hundsonowi, pod względem wdzięków przyrody.

I woda tu wspanialsza i szersza i góry śmielej się wspinają. Nie zbywa tu ani na piramidach jak owe siedem gór nadreńskich, ni na stromych skałach jak Lurleina, wyskakujących pionowo z wody; tunele kolejowe przebiegają je tu jak i tam, a po minięciu każdego z nich, nowy, rozkoszniejszy jak poprzedni zjawia się krajobraz.

I tu cisną się powabne mieściny pomiędzy wodą i górami. Światła szyb domów odbijają w przeczystej wodzie rzeki, płynącej tak spokojnie iż wygląda jak szwajcarskie jezioro. Tylko brak tu nam szarych ruin burgów i minstrów, i poetycznych legend przedwiecznych. Tu wszystko nowe!

Jeżeli drogi Redaktorze przypominacie sobie nasze wieczorne przejażdżki po jeziorze Zurychu i ów przecudny krajobraz gór i wód, oświetlony łagodnym blaskiem nocy miesięcznej, to macie dość wierny obraz rzeki łączącej *Nowy York i Albany.* Zbywa mu może na wspaniałości tej części jeziora, nad którą leży Rapperswyl, gdyż żadna śniegiem i lodowcami okryta góra jak Glernisch lub Tödi nie pała tu od promieni dawno ukrytego już słońca; lecz około Bendlikonu zupełnie podobną jak tu ujrzycie okolicę.

W Albany, mieście sporem, przejeżdżamy po wspaniałym moście, a ponieważ wody Hundsonu bieżą z północy na południe a kolej udaje się teraz na zachód, żegnamy więc rzekę na zawsze.

Czasami pędzi pociąg pomiędzy dobrze uprawnemi fermami, czasami mija bory ledwie tknięte ręką człowieka. Miejscami widzimy owe nowo założone gospodarstwa, gdzie ledwie przed kilkoma laty wycięto lasy i zasiano zboże. Jeszcze pnie i kłody czernią się po łanach, a oracz ostrożnie je omija pługiem.

Domostwo choć drewniane lecz schludne i przestronne, stodoły obszerne a stogi liczne i starannie pokryte. Ogromne sady, często pokrywające znaczne obszary w bliskości miasteczek, płoną czerwienią owoców. Chłopaki wskakują na stacyach do powozów i sprzedają nam nader tanio jabłka, gruszki i winogrona. Nie opuszczają pociągu aż do chwili gdy ruszy, i nie jeden z nich wyskakuje zeń dopiero, gdy już pędzi jakie dwie mile na godzinę. Po raz pierwszy w życiu widziałem, by pozwalano przekupniom wskakiwać i wyskakiwać z pędzących wagonów. Lecz co kraj to obyczaj!

Jak w całej Ameryce tak i tu sadzą przeważnie samą kukurydzę na łanach. Pomiędzy zbożem złocą się pękate dynie i harbuzy, ulubiona jarzyna tutejsza, którą tu tak umieją przyrządzać, iż pasztet z dyni (pumpkin pie) liczy się do tutejszych przysmaków.

Miasta tu piękne, niektóre bardzo ludne nawet. W jednym dniu przejeżdżamy przez Rzym, Paryż, i Syrakuzę. Londyn od nich niedaleko, a nawet i Warszawa leży tylko o jakie sto mil od nas. Zabawnie brzmią te nazwy miast wyrosłych jak grzyby po deszczu w przeciągu lat kilku i ochrzczonych według grodów stojących od wieków.

Wreszcie około 8-ej wieczorem, dojeżdżamy do *Suspension bridge* *), słynnego mostu, zawieszonego poniżej wodospadu Niagary i łączącego Stany z Kanadą. Dworzec leżący za nim należy do W. Brytanji. W mieścinie złożonej z samych hotelów prawie i noszącej nazwę owego mostu, zatrzymałem się na noc, a towarzysze moi ruszyli dalej na zachód.

Noc całą spędziłem w Suspension bridge. Marzenie mej młodości, owa Niagara o której tyle czytałem i słyszałem, ukołysała mnie do snu głuchym swym szumem, nazajutrz o świcie już stałem u stóp wodospadu.

Widziałem go; kurzawa wodna wisząca nad nim jak obłok gęsty, zrosiła me skronie! Jak widok lodowców alpejskich tak i ten półokrąg wód spadających już to zielonem już to białem pasmem nie rozczarował mnie, i gdybym nic w Ameryce nie ujrzał oprócz Niagary, nie żałuję trudu mej podróży.

Trudno odmalować słowami jak rzeka może pół mili szeroka pędzi ku otchłani, jak długo wody zanim jej dotrą do krawędzi i zatoczą łuk wodospadu piętrzą się w bałwany lub tworzą porochy, jak wreszcie podzieliwszy się na dwa ramiona okrążają uroczą wyspę, i po jednej jej stronie sypią się szeregiem srebrnych kaskad, a po drugiej tworzą ową olbrzymią podkowę zwaną *horseshoe fall.* Chyba Słowacki mógłby się skusić na obraz podobny. Ja więc poprzestaję na wyliczeniu ciekawszych miejsc, tak by nasz czytelnik miał jakie takie pojęcie o rozmaitości jaką tu spotkałem.

Najpierw ostrzegę Was iż dzień jeden ledwie wystarcza na ujrzenie wszystkich ciekawości wodospadu, powtóre iż zdzierają tu niemiłosiernie; gdzie staniesz żądają pół dolara, chcesz usiąść już dolara wymagają, nawet gdy idziesz każą ci płacić, bo nie przekroczysz ani mostu ani ogrodu ani wschodów bez dobywauia sakiewki. Kanadyjczycy idą z Amerykanami w zawody jakby najprędzej ogołocić podróżnych z pieniędzy, wszystkie sposoby zdzierania wymyślone w Szwajcaryi, i tu wprowadzono, z tym dodatkiem, że gdzie Szwajcar *prosi* o franka, tubylec *każe* płacić dolara. Za to jesteśmy na ziemi amerykańskiej, gdzie pono dużo pieniędzy a powszechnej równości dowodzą niegrzecznością.

Mniejsza o to, widok Niagary za wszystkie nieprzyjemności i zdzierstwa wynagrodzi.

Z hotelu w którym stanąłem liczą do wodospadu $1^3/_4$ mili angielskiej. Zaledwie opuścisz Suspension bridge doleci do twych uszu szum głuchy wody, wnet wchodzisz na drogę, biegącą wzdłuż rzeki niebieskiej jak morze, i ściśnionej daleko pod twemi stopami w wąwozie o pionowych ścianach, mających 180 stóp wysokości.

Za sobą zostawiasz most dziwnej budowy; jednym skokiem przesadza on rzekę, gdyż wisi na łańcuchach a raczej powrozach żelaznych grubych jak ciało człowieka. Sam gmach po części żelazny, po części drewniany, ma dwa piętra połączone krzyżującemi się kratami, wyglądającemi zdaleka jak sieć. Wyższe piętro służy dla kolei żelaznej, niższe dla powozów i przechodniów. Tu dodam, iż od każdego konia i człowieka przechodzącego czy to przez ten most, czy przez drugi wiszący powyżej, odbierają myta 25 centów kanadyjskich czy w złocie lub srebrze. Płacącym papierkami amerykańskiemi, doliczają 10% ażia.

*) Jeżeliby kto z rodaków udawał się kiedykolwiek do Niagary, niech zażąda w Nowym Yorku biletu do Suspension bridge, a nie przyjmie kart do stacyi amerykańskich zkąd musi płacić kilka dolarów by dotrzeć do wodospadu.

O milę od niższego mostu spotykamy drugi, ów słynny most, zarzucony przez Niagarę. I on wisi na drucianych powrozach łączących dwie olbrzymie wieże stojące po obu stronach rzeki. Wysokość jego nad wodą wynosi 170 stóp angielskich, długość mierzyłem krokami sporemi i przekonałem się iż wynosi przeszło pięćset kroków, a więc stóp 1200. Most ten tak jest wązki iż tylko jeden szereg powozów na nim się zmieści. Dla zmniejszenia wibracyi i bujności, biegą od poręczy do brzegów niezliczone powrozy druciane, i wyglądają z daleka niby siatka pajęcza. Równolegle z mostem bieży powróz gruby na kilka cali i obciążony worami ołowiu, po którym przechadza się czasami jakiś rywal Blondyna. Jegomość ten popisuje się obecnie w Suspersion, chodząc za dnia po linie, wieczorem połykając noże, łapiąc kule wystrzelone z karabinu i musztrując kanarki. Gdy już widziałem Blondyna w Londynie, nie marnowałem czasu na ujrzenie tak różnostronnego geniusza.

Ze środka tego mostu możesz po raz pierwszy ogarnąć okiem całość wodospadu. Po lewej ręce widzisz najpierw niby strumień alpejski, spadający w kształcie srebrnej piany, tuż obok miasta Niagara falls, stojącego na amerykańskiej stronie Kaskady. Wodospadzik ten, piękny jak Handeck lub Breitenbach, nazywają tu Bridal veil (zasłona oblubienicy). Jest on dziełem ręki ludzkiej, gdyż sycą go wody skradzione w górze rzeki i obracające młyny miejskie. Tu one wracają do matki Niagary.

Między nim a wielką kaskadą zwaną American falls, leży wspomniane miasto. Same American falls tyle ciskają wody w przepaść jak Ren pod Szafuzą, z tą różnicą iż woda ta pędzi pionowo, a wysokość wodospadu dwa razy większa jak Renu. Gdzie wody znów dotykają powierzchni leżą olbrzymie ułamki skał, urwane z góry i spiętrzone siłą kaskady; o nie rozbija się strumień, z nich spływa w niebieską toń rzeki.

Przeciwnie dzieje się z wielkim spadem, odłączonym od American falls przestrzenią wyspy Goat Island (wyspa kóz) mającą jakie 500 kroków szerokości. Tu wodę lecącą z góry chłonie topiel u dołu; huk, szum, piętrzące się bałwany i kłęby pary wznoszące się z miejsca gdzie woda o wodę uderza, tworzą owe niezrównane widowisko, na którego opis nie śmiem się porywać.

Półkole wód Horseshoe tem piękniejsze iż po obu stronach, gdzie strumień mniej głęboki srebrnej jest barwy w środku zaś czyli w błękitnej części łuku, gdzie jak się domyślają słup spadających kryształów musi mieć przeszło 20 stóp grubości, zupełnie zielone. Dopiero gdzie poczyna się stykać z bałwanami i pianą, odskakującemi od rzeki, przybiera i ta część białą barwę.

Jednak aby mieć jakiekolwiek pojęcie o wspaniałości i grozie półkola, o uroczości trzech tęcz łączących łukiem barwnym brzegi Kanady z wyspą i innych trzech mniejszych łączących znów podnóże wyspy z podnóżem amerykańskich brzegów, by pojąć piękność obłoków z piany i pary w których łamiące się promienie słoneczne tworzą tę tęczę, i które unoszą się od dna urwiska wysoko po nad brzegi, skrapiając bezustannie domy i łąki okoliczne, by to wszystko pojąć musiałbyś stać tam kochany Redaktorze, gdzie ja stałem.

Rzuciwszy okiem w dół ujrzałbyś pod nogami ściśnioną rzekę ledwie pięćset kroków szeroką, w którą ta cała masa wód leje się z góry. Wody jej nie płyną prawie lecz krążą w szerokich kołach tworząc olbrzymie wiry. Trudno pojąć w jaki sposób odpływają one w tak ciasnem korycie, jak rzeka tak szeroka u góry wodospadu przeciska się tu przez tak ciasny wąwóz. Lecz dowiedziawszy się że głębokość wód pod mostem wynosi 190 stóp, pojmiesz w jaki sposób koryto wązkie zmieści ścieki przestronnych jezior amerykańskich.

Cała Niagara poniżej wodospadu aż do miejsca w którem znów miesza się z jeziorem Ontario, równie ściśnięta i nie daje prawdziwego pojęcia o swej wielkości. Patrząc na nią w Suspension bridge niemógłbyś pojąć, dla czego ludzie prawią i piszą tyle o rzece tak nie szerokiej i płynącej tak wolno pomiędzy urwiskami wapiennemi. Kontrast pomiędzy złudną jej małością u dołu a olbrzymiem półkolem u góry, zwiększa urok całego widoku.

Coż dopiero gdy przeszedłszy wyższy most wiszący i drugi most przeskakujący ramię rzeki tworzące American falls, pójdziesz na wyspę kilkunasto morgową, zmienioną przez właściciela na park, do którego wstęp kosztuje pół dolara. Stojąc na przylądku wyskakującym z wyspy przeciwnego wodospadu końca, patrzysz na rzekę przed którą skarlałby Dunaj pod Wiedniem a i pod Gałacem. Brzeg Kanady tak oddalony od widza, iż domki leżące za rzeką tylko niewyraźnie dostrzega się. A przecież cała ta masa wypływająca z jeziora Erie, pędzi szybciej od rumaka i piętrzy się szybkością i siłą spadu w bałwany, aż ją pochłonie przepaść tylko pięćset kroków szeroka!

A teraz, napasłszy oko widokiem kaskady wejdźmy do wieży drewnianej zbudowanej od krawędzi urwiska do stóp jego. We wnętrzu wieży są wschody kręcone, po nich idziesz w dół tak długo iż myślisz że nigdy do końca ich nie dojdziesz. Wreszcie stajesz u stóp wodospadu amerykańskiego, wpośród tęcz i kurzawy wodnej. Turyści idący przed tobą wydają się raz jak olbrzymy w mgle księżyca, to znów jak duchy ubarwione aureolą tęczy.

Tu, zarówno jak na stronie kanadyjskiej, może podróżny wejść pod sam wodospad. Grota wiatrów, gdzie wieczny wicher wyjąc napada na odważających się wejść do jaskini, którą przyroda odgraniczyła od świata firanką wód, ztąd jest dostępną i można ją widzieć za półtora dolara. Pieniądze te wydzierają niby to za pożyczenie płaszcza ceratowego, chroniącego od przemoknięcia.

By się nie powtarzać nie chcę opisywać wrażenia jakie wywarło na mnie wstąpienie pod wodospad, gdyż na stronie Kanadyjskiej spotęgowanem jeszcze zostało.

Wróciwszy do mostu i przeszedłszy napowrót po nim z Ameryki do Kanady, poszedłem ku miasteczku Ceifton, złożonemu z kilku hotelów i sklepów sprzedających ciekawości i upominki. Za pomocą podobnej wieży i zapłaciwszy znów dolara i ćwierć odczepnego za płaszcz niby, w istocie zaś za obejrzenie tej części wodospadu, pozwolono mi zejść do dna wąwozu. Przewodnik dodany mi i kilku innym towarzyszom, nudził mnie rozmaitemi andronami. Wiedząc oddawna iż przewodnik zupełnie tu niepotrzebny i że dodają go by więcej wydrwić pieniędzy, wymknąłem się z towarzystwa i sam na sam pobiegłem po ciasnej ścieżce pomiędzy skałą a wodami, póki woda nie zamknęła drogi.

Tuman mgły zawiewanej wiatrem w oczy, sprawia z razu cokolwiek niemiłe uczucie, oswoiwszy się jednak z tą nieprzyjemnością spojrzałem śmielej ku górze.

Obróciwszy się plecami do wchodu, tak by nic nie ujrzyć z zewnętrznego świata, miałem pod nogami ścieżkę z ułamków głazów, po prawej ręce czarną, prostą a nawet cokolwiek wiszącą nad głową skałę. Wisiała ona tam groźnie, jak gdyby chyliła się do upadku i pragnęła mnie zagrzebać w gruzach.

Po lewej ręce zbiegał łuk wody jak olbrzymia metalowa tarcza. Połysk tej ciągle ruchliwej massy olśniewał mi oczy, ryk wydzierający się z gardzieli połykającej ją głuszył mnie, kłęby odbijącej się od dna przepaści topieli sprawiały dziwny zawrót głowy swą ciągłą zmianą barw i kształtów.

d. c. n.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Londyn 1 Października.

Lord Ripon. — Przemówienie w parlamencie Wiliama Lawson. — Pomnik dla Dra Priestley, w Birmingham. — Statua Sir Tytusa Salt, dobroczyńcy ludzkości, w Bradford. — Lady Burdett-Coutts. Posiedzenie inżynierów-mechaników w Kardiff. — Wyprawa naukowa korwety Challenger. — Nowe Chicago. — Teatra. — Powieści.

(Ciąg dalszy).

W Kardiff odbyło się doroczne posiedzenie inżynierów-mechaników; prezydował sir Bramvell i w przemowie swojej streścił zasługi oddane teoryi i praktyce nauki mechaniki, przez inżynierów-mechaników.

„Nie przesadzę bynajmniej, mówił p. Bramvell, że najważniejsze tegoczesne w praktyce codziennego życia zastosowane wynalazki, począwszy od lokomotyw aż do maszyn do szycia,są dziełem inżynierów-mechaników i śmiało powiedzieć mogę, że dokonali oni wielkiej społecznej moralnej i materyalnej rewolucyi. Dzięki im, dzienniki stały się zarazem rozkrzewicielami światła umysłowego i organami wolnej zamiany pojęć międzynarodowych. Wszakże te koleje żelazne i statki parowe dostarczają dziennikom szczegółów i wiadomości, a choć telegraf je wyprzedza, to przecież jedynie z pomocą maszyn parowych można było założyć druty elektryczne.“ W dalszej części swej mowy p. Bramvell zapowiadał w bliskiej przyszłości nowe cudowne odkrycia i wynalazki, których obecne pokolenia przedświt zaledwie oglądają.

Od lat już dawnych narody ucywilizowane uważały sobie za obowiązek wyprawiać peryodycznie okręty przeznaczone do podróży naukowych na około świata: do połowy zeszłego stulecia wyprawy takie jeden tylko cel zakładały sobie: odkrywać nowe ziemie lub określać dokładnie położenie i ukształtowanie wybrzeży już odkrytych. Tak więc tylko geografia i żegluga odnosiły niejakie korzyści z tych oddalonych wypraw, zupełnie bezużytecznych dla astronomji, fizyki i nauk przyrodzonych. Nie zwracano zupełnie uwagi na morze i jego mieszkańców, stanowiących teraz właśnie główny przedmiot badań uczonych dostrzegaczy; ziemie mniej ich zajmują, bo te doskonale poznać i opisać mogą inni, stale w nich osiedleni, lub łatwo mogący się tam dostać uczeni.

Wszystkie pisma podawały opisy szczęśliwego powrotu i okazałych przyjęć, jakiemi uczczono odważnych żeglarzy, po długich trudach powracających z naukowej wyprawy wysłanej przez rząd austryacki, ale może mało kto z czytelników pamięta, że dnia 21 grudnia 1872 roku, wypłynęła z Portsmouth wyprawa angielska, złożona ze znakomitych uczonych, na korwecie śrubowej *Challenger*, w celu zbadania ukształtowania dna, natury i temperatury Oceanu Atlantyckiego. Jeszcze przed kilkunastu laty, byłoby to zadanie nader długie i trudne, z powodu niedokładności niezbędnych do tego przyrządów; dziś, dzięki ich udoskonaleniu jest ono nader ułatwionem. Ostatnie raporta z korwety *Challenger* nadeszły do Londynu przed parą miesiącami, z Sidesy w Australji i zamieszczają szczegółowe sprawozdania o głębokości, temperaturze oraz o poszukiwaniach odnoszących się do

zoologji i botaniki. Pominiemy pierwsze jako mniej przedstawiające zajęcia dla ogółu czytelników, a wspomnimy po krótce o faunie i florze podmorskiej, według sprawozdań uczonych, znajdujących się na okręcie *Challenger*.

Utrzymują że światło jest wielkim kolorystą przyrody, że zwierzęta żyjące w ciemności, w piwnicach lub w głębokich pieczarach, mają zazwyczaj siną tylko barwę, aż tu z wielkiem ździwieniem naturalistów wyciągnięto z otchłani Oceanu różne gwiazdy morskie, różne zwierzokrzewy i mięczaki bardzo żywo ubarwione, choć do głębin takich światło wcale nie dochodzi. Powiedziano także, opierając się na spostrzeżeniach czynionych nad zwierzętami żyjącemi w ciemnościach; światło tworzy oko, dowodem tego iż niektóre owady opatrzone wzrokiem, utracają go jeżeli przez kilka pokoleń, przebywają w ciemnych pieczarach. Proteusz podziemnych wód Karnioli jest ślepy, tak jak i ryby z jezior znajdujących się w wielkich grotach Ameryki Północnej. Jednakowoż skorupiaki opatrzone oczami doskonale ukształtowanemi zamieszkują otchłanie morskie w których wieczna noc panuje. Te same fakta stwierdził p. Forel w jeziorze Genewskiem;przekonał się że w głębokości pięćdziesięciu metrów przezroczystych wód jeziora w której światło już zupełnie nie działa na chlorek srebra, wyciągnął jednak z głębokości 200 do 300 metrów zwierzęta dość żywo ubarwione i skorupiaki opatrzone bardzo skomplikowanemi oczami. W obecnym stanie naszych wiadomości, fakta te, tak na pozór sprzeczne zupełnie wytłomaczyć się nie dadzą, a jednak wyjaśnienie ich byłoby bardzo ważne, z powodu że dotykają wielkiej kwestyi oddziaływania miejscowości na istoty organiczne, którego ważność wykazał Lamarck w swojej teoryi przekształcania się gatunków.

Na połowie drogi między Afryką a Ameryką, algi zwane sargassami unosiły się wzdłuż wybrzeży, ryby przesuwały się po wód powierzchni, a w nocy nastąpiła fosforencya morza. Zapuszczając odpowiedni przyrząd o 3,450 metrów, wyciągnięto tylko szarawe błoto i małego skorupiaka(*Deidamia leptophylla*) mającego 12 centymetrów długości, zupełnie bez oczu, jak raki z głębokich pieczar w Stanach Zjednoczonych, kiedy przeciwnie zwierzę z rodzaju *Munida* żyjące w morzach północnych w głębokości 650 metrów, gdzie już zupełna panuje ciemność, miało wielkie, doskonale ukształtowane oczy.

Dalej na wybrzeżach wysp Azorskich, na głębokość 1,830 a drugim razem nawet aż na 3,600 metrów wyciągnięto dwa rodzaje skorupiaków które p. Willimoes-Suhm uważa za typ zupełnie nowego rodzaju. Oba mają oczy słupkowe umieszczone jak zwykle w głowie, a nadto jeszcze drugie dwa pomocnicze, utwierdzone na drugiej parze nogo-szczęków.

Takie fakta wprawiają w kłopot zarówno stronników przekształcania (*transformistów*) jakoteż i zwolenników dawnej doktryny ostatecznych przyczyn, dowodzącej że każdy organ uformowany został do jakiegoś specyalnego użytku, gdyż w takim razie na cóż oczy zwierzęciu przeznaczonemu żyć w zupełnej ciemności. Zasady Lamarck'a który uważał organa jako wynik wpływu czynników zewnętrznych na organizm, także nie rozwiązuje trudności, bo zapytać trzeba jakim sposobem mogły ukształtować się oczy w zwierzęciu pogrążonemu w nieustannej ciemności? To zadanie filozoficzno-zoologiczne wymaga zatem nowych badań, gdyż nie może być rozwiązane przez rozumowanie ale przez bezpośrednie dochodzenia; może rozwiążą je w ten sposób: że skorupiaki ślepe przebywają ciągle w wielkich głębinach, a opatrzone oczami tylko czasowo, zamieszkują stale bliżej powierzchni.

Sondowano nowym przyrządem różne głębokości w różnych miejscowościach, i wszędzie napotykano bogatą faunę, o 80 mil na północ wyspy Ś. Tomasza dosięgnięto największej ze znanych dotąd głębin na 7,130 metrów, ale tu już nie wydobyto żadnej żyjącej istoty, tylko czerwonawe błoto.

Flora małych archipelagów odosobnionych wśród oceanu, budziła od dawna ciekawość botaników, stawiających sobie nie rozwiązane dotąd pytanie: zkąd się wzięła roślinność zdobiąca te samotne skały, o które wciąż rozbijają się bałwany niezmierzonego morza. Co do roślin znajdujących się na tych wysepkach i na pobliskich lądach, te mogły być przeniesione przez czynniki przyrodzone, lecz w razie znacznych odległości powstają ważne zarzuty przeciw przypuszczeniu, że przeniesione zostały przez prądy morskie, wiatry lub ptaki. Lecz dopuszczając nawet że te przyczyny działające już od tylu tysięcy wieków, mogły przenieść nasiona które zakiełkowały w dziewiczej ziemi i tym sposobem rozkrzewiły rośliny które je wydały, cóż powiedzieć o gatunkach właściwych jedynie wyspie na której się znajdują, stanowiących wyraźnie florę pierwotną i czysto miejscową, zupełnie odmienną od flory innych okolic wszechświata? A cóż dopiero jeźli taka pierwotna flora znajduje się na wyspach wulkanicznych. Zaczynają się przekonywać, że na lądach, lub wyspach utworzonych z nagromadzeń osadowych, flora obecna jest tylko jakby dalszym ciągiem dawniejszej, znajdującej się w stanie kopalnym w pokładach geologicznych, której część tylko przetrwała ostatnie zmiany jakie nastąpiły na powierzchni kuli ziemskiej; lecz jak to wytłomaczyć że cała roślinność mogła powstać na wysepkach wulkanicznych, wyszłych z łona fal w stanie zupełnego rozpłomienienia?

Roślinność pokrywająca te wysepki nie była poprzedzoną żadną dawniejszą; do takich zalicza się i mały archipelag Tristana d' Acunha. Położony w równej odległości od wschodnich wybrzeży Ameryki południowej i Afryki południowej, składa się z głównej wyspy, noszącej nazwisko żeglarza portugalskiego, który ją odkrył w 1506 roku, i z dwóch małych wysepek. Główna wyspa ma 16 mil kwadratowych powierzchni; Aubert Dupetit-Thonars był pierwszym botanikiem który ją zwiedził w r. 1792. Naturaliści z korwety *Challenger* znaleźli tu wszystkie opisane przez niego rośliny. Jest wiele właściwych tej tylko wyspie, jak między innemi drzewo *phylica arborea* zbliżone do rodzajów sakłaków, któremu gwałtowne wichry nie dozwalają wzrastać wysoko, ale pień dochodzi niekiedy do 5 centymetrów średnicy. Jest także krzewina *Chonopodium tomentosum* której woniejące listeczki naparzone w wodzie mogą zastąpić herbatę; i kilka jeszcze roślin i krzewów których nie napotkano nigdy gdzie indziej jak na wyspie Tristan d'Acunha, i dwóch małych jej przyległych wysepkach, *Nightingale* i *Niedostępne*. Znajdują się tam także rośliny rosnące na krańcach Ameryki południowej i na wyspach Falklandzkich, oraz pelargonie i paprocie napotykane w Australii i w Nowej-Zelandyi. W ogóle flora jest bardzo uboga, jak i na wszystkich wyspach rozsianych wśród Oceanu, ale owe rośliny czysto miejscowe i specyalne, zwracają na tę wyspę uwagę przyrodników, zajmujących się badaniem pojawiania się roślin na powierzchni kuli ziemskiej. *(d. n.)*

POGADANKA.

Zefirki jesienne przejmujące chłodem, już się wciskają w mury Warszawy; czasem nawet i dachy pobieleją śniegiem, gwiazdy wyiskrzą się, niebo wyjaśnieje i otoczy nas woń świeżego powietrza tak upragniona na próżno niestety.

Znajduję się też w porze kitowania okien, wydobywania cieplejszego odzienia, rozpoczęcia różnorodnych koncertów, odczytów, zebrań, wieczornych i..... szpuntowania beczek *z głowami kapuścianemi* o których zapas wcale nie trudno. Nie jest to złośliwy przytyczek: kapuścianych głów w przenośnem znaczeniu mamy niewiele, a brakłoby ich z czasem zupełnie, gdyby szczerze pomyślano o ich usunięciu. I pod tym względem są starania, tylko... zbyt jednostronne, mające jedynie na celu szczupłą cząstkę ogółu, która stając myślą wyżej nad jego poziomem, już sama da sobie radę i nie zboczy z drogi na którą raz weszła. Cząstka ta, to wybrańcy rozsypani w gronkach rodzinnych po dworach wiejskich, po miastach i miasteczkach, niby rośliny szlachetne obiecujące plon obfity: reszta to chwast to dzikie zielsko co nie da się im rozwinąć jak należy, a z rozwiniętych rzucone nasienie pięknych myśli, dobrych chęci i starań zbawiennych, przygłuszy, umorzy i strawi w proch rozsypujące.

Pomysł założenia czytelni dla kobiet mający wkrótce wejść w wykonanie piękny i pożyteczny, ale czy zniszczy chwast o którym wspomniałem? Spółka księgarska do wydawania dzieł poważniejszej treści, czy wyrwie choć jeden kąkolik uporczywie trzymający się gruntu, tak mu dzielnie do rozrostu posługujący.

Cieszymy się dramatem Wit Stwosz p. Rapackiego że i pod tym względem zaczynamy równoważyć sąsiedzką nad nami przewagę: składamy szczodre dary na zapomogi studentów uniwersytetu Warszawskiego, przepełniamy koncerta w celach także pomocy naukowej urządzane, wspieramy ubóstwo, zasilamy fundusze Tow. Dobr. gotujemy dla niego przedstawienia teatralne amatorskie pod opieką zasłużonego artysty i dyrektora p. I. Jasińskiego: wszystko to zacne, piękne i szlachetne, ale choćbyśmy sto posiedli dramatów europejskiej sławy, setki studentów zapomogli i nagromadzili stosy złota dla zakładów dobroczynnych, czyż ów chwast nieszczęśliwy, nie przestanie zawsze być chwastem i to coraz bujniej się rozwijającym?

Że tak się dzieje dowodów na nieszczęście nie brakuje. W naszej Warszawie, nie ma dnia aby pisma codzienne nie doniosły o jakiem bezczelnem oszustwie, śmiałej kradzieży, napaści lub nawet morderstwie oburzającem. Conocnie areszta policyjne przepełniane są różnego rodzaju awanturnikami, zwykle cudze za swoje biorącymi. Żebractwo wyrasta jak grzyby po deszczu, wciska się wszędzie, mnoży, coraz staje się śmielszem, natarczywszem nawet łającem a przez drzwi przypadkiem na chwilkę nie zamknięte, natychmiast wsuwa się ręka złodzieja jakby jedynie na to czatująca.

Na pogrzebie ś. p. Bakałowiczowej, tysiączny tłum z taką gwałtownością rzucił się w bramę cmentarza, że w jednej chwili stratował, zdeptał i wyłamał wszystko co tylko spotkał na drodze, śpiesząc na miejsce wiecznego spoczynku nieodżałowanej artystki. Co gorsza, w dzień zaduszny grono młodzieży nawet bardzo przyzwoicie odzianej, dopuściło się zabawki i żarcików w pośród grobów i mogił cmentarza powązkowskiego, w pośród łez i westchnień żalu pamięci zmarłych poświęconych. Nic też dziwnego, że ręce bezczelnych rzezimieszków, nie szanują nawet grobów, nawet miejsc świętych, nawet zwłok czekających w kaplicach pogrzebów, i kradną obdzierają nie zważając na nic i nikogo.

Do czego to wszystko doprowadzi, aż strach pomyśleć. Widocznem jest tylko że złe się wzmaga, a narzekania na niego wzrastają.

Towarzystwo szerzenia oświaty ludowej, działające z pojęciem swego celu, jedynem jest radykalnem na to lekarstwem. W Cesarstwie usiłowań w tym kie-

runku nie brakuje, w Niemczech istnieje aż 455 Towarzystw podobnych, u nas nie ma ani jednego. Pozbawieni tej jedynej tamy złego, jak na dziś, byłoby arcy praktycznem złodziei i żebraków z profesyi niepoprawionych obdarzonych zdrowiem i siłą do pracy, osiedlać w puszczach Azyi a choćby Afryki i Ameryki, zakładać z nich kolonije i wyuczywszy odpowiedniej pracy, zmusić do niej nie dozwalając pod żadnym pozorem powrotu w strony rodzinne.

Pomiędzy wielu zbawiennemi projektami, jeden założenia resursy dla rzemieślników więcej zajmuje obecnie naszą prasę peryodyczną.

Myśl poczciwa ale dowodząca jasno, jak w podobnych pomysłach brak nam praktycznego na rzeczy poglądu. Podobne instytucye nigdy nie narzucają się, tylko powstają same w ślad za wyrobieniem społecznem.

Wybudujmy dla owej projektowanej resursy jak najwspanialszy gmach, uposażmy go we wszelkie środki przyjemnego przepędzenia czasu, urządźmy w nim czytelnią, bibliotekę, odczyty, billard, kręgielnię i t. p. czy sądzicie że to poziom umysłowy klasy rzemieślniczej podniesie i skłoni do porzucenia szynku bezpowrotnie? Bynajmniej! Gmach ten napełnią ci jedynie co wypoczynku po pracy w podobny sposób już używają, reszta zaś i to bez porównania znaczniejsza, pójdzie do szynku jak dotąd chodzi i gmach świecić będzie pustkami. Zabawy bowiem choć każdy pragnie, ale łaknie odpowiedniej do swego usposobienia. Prosty u nas rzemieślnik bawiąc się, musi rozgrzać głowę koniecznie wódką i piwem, aby uśpioną wyobraźnię obudzić i rozplątać język do gadania. Spełniwszy to, musi słuchaczy naszarpać się i wzajemnie być wyszarpanym, musi naprzymawiać się i setki podobnych przymówek odebrać; musi na złościć się, wykłócić, nawyrzekać, napalić tytoniu, podjeść różnych przekąsek i dobrze podchmielony być wygnanym przez żonę do domu. Czyż więc taki rzemieślnik pójdzie do resursy w której czując się obcym wynudzi porządnie, gdy w szynku podochoci, ugada i uśmieje z wielkiem swojem zadowoleniem. Nauczmy go więc wprzód myśleć i zastanawiać się rozumnie, uposażmy głowę jego w materyał do rozmowy, obudźmy w nim godność ludzką a wstręt do trunku i bezmyślnej paplaniny, a wtenczas dopiero zakładajmy resursy a przyjmie ją z roztwartemi rękoma błogosławiąc tych, co zrobiwszy z niego człowieka, ludzką mu przynoszą zabawę.

Osady rolne dla małoletnich przestępców już wznoszą się ciesząc założycieli. Instytut to wielkiej doniosłości, ale jeżeli sprawę oświaty ogólnej na boku zostawimy, myślmy już dziś o zakładaniu podobnych osad w każdej gubernji, później w każdym powiecie a wreszcie w każdej gminie, bo z pewnością liczba kandydatów corocznie wzrastać będzie niepomiernie.

Bazar przedświąteczny ma także być urządzony na korzyść Tow. Dobr. przynosi on zwykle sporą sumkę zasiłku, ale ta zginie jak kropla deszczu na spieczonej ziemi, jeżeli obok wspierania istotnej nędzy nie pomyślemy o środkach zapobiegających jej powstawaniu.

Przegląd teatralny.

„Miłe złego początki.“ — Komedya w 1-m akcie oryginalnie napisana przez Władysława hr. Koziebrodzkiego.

Doświadczenie nauczyło nas od pewnego czasu, że wyrazów: „Komedya oryginalna“ figurujących na różowym afiszu, nie należy brać na seryo. Ze wszystkich bowiem przymiotów odznaczających dzisiejszą sztukę, oryginalność podobno najwięcej szwankuje. Na polu twórczości literackiej i artystycznej zapanowało jakieś ogólne rozleniwienie umysłów; nikomu nie chce się oglądnąć za tematem nowym, wejrzeć okiem artysty i myśliciela w życie społeczne, poszukać typów i postaci, w których najwyraziściej streszcza się fizyognomia chwili bieżącej. Łacniej chodzić utartemi drogami rutyny, nicować cudze pomysły, odświeżać wytarte jak liczman sytuacye, a w ostateczności ratować się lichym konceptem.

Do rzędu lichych konceptów scenicznych należy właśnie komedya nieznanego u nas pisarza, hr. Wł. Koziebrodzkiego, ochrzczona przysłowiowym tytułem: „Miłe złego początki.“ Autor ukazuje widzom lekkomyślną żonę jakiegoś pseudo-finansisty, która obowiązki żony i matki pojmuje w szczególny sposób. Niby to kocha męża i dzieci, a jednak pragnęłaby dla rozrywki jedynie odbyć wyprawę do tych ogrodów tajemniczych, gdzie rośnie owoc zakazany. Zachęca ją do tego przykład przyjaciołki, pani Laury, która do wszystkiego co zakazane, osobliwszą żywi sympatyę. Celina zatem, wyprawiwszy męża na spacer, dozwala się odwiedzić młodemu lowelasowi Edwinowi. Do tego heroicznego czynu przygotowuje się paląc z przyjaciołką papierosy i krztusząc się niemiłosiernie dymem. Nareszcie przychodzi Edwin i obyczajem wszystkich przyzwoitych kochanków, przyklęka na oba kolana. Szczęściem w tej właśnie drażliwej chwili, wchodzi Karolina, kuzynka Celiny, sensatka, moralistka i powieściopisarka *par dessus le marche*. Widząc własnemi oczyma niebezpieczeństwo grożące młodej mężatce, postanawia wyleczyć ją z manii wypraw zakazanych i wrócić na łono surowych obowiązków. W tym celu udaje niby protektorkę występnego stosunku, wmawia w Celinę i w Edwina że wykradzenie i ucieczka stały się nieodzowną koniecznością, że Celina odtąd musi być nieodstępną towarzyszką kochanka, razem z dwojgiem dzieci i mamką. Trudno wiedzieć, po co autor wmieszał dzieci, w tę całą awanturę. Wyradza się z tego effekt bardzo niesmaczny, którýby można nazwać pieluszkowym. Piastunka wnosi na scenę niemowlę w powijakach, o drugiem starszem dziecku dowiadujemy się, że z trudnością będzie mogło odbyć daleką podróż, ze względu na małe przypadłości nieodłączne od dziecinnego wieku.

Celina w chwili stanowczej waha się; żal jej życia, które płynęło w spokoju i uczciwości, żal wygód i dostatków, do których przywykła. Jestto bardzo naturalne, ale nikogo nie wzrusza. Sytuacya rozwiązuje się ostatecznie wiadomością, że Edwin uciekł za granicę sam jeden, a brosza brylantowa przyniesiona przez niewiedzącego o niczem męża, przywraca do reszty harmonię i spokój domowego ogniska.

A co będzie później? Celina pozostanie chorągiewką na dachu, którą lada wiatr poruszy w tę lub ową stronę, mąż będzie maniakiem finansistą oszukiwanym przez cały świat. Karolina napisze kilka powieści (bardzo nudnych, daję na to moje krytyczne słowo) a Edwin poprowadzi ostrożniej romantyczne zabiegi.

Mówiąc prościej, wszystkim tym postaciom brak jednej rzeczy ważnej zarówno w życiu jak w sztuce, brak charakteru. Napróżno pytasz się do jakiego społeczeństwa należeć mogą i szukasz w nich znamion rodowych, napróżno rozglądasz się w ich duchowej treści i pożądasz prawdy psychicznej. Są to figury kosmopolityczne, blade, jałowe, żyjące tylko w sztucznym świecie nędznych komedyi. Sympatyi widza one nie poruszą, ani żywotnego interesu w nim nie zbudzą.

Więc po co żyją, mówią, gestykulują na scenie,— po co służą do ekspozycyi pieluch i powijaków, po co klajstrem nudy zlepiają widzów powieki? Jestto tajemnica pomiędzy autorem i reżyserą, której dociekać nie widzimy potrzeby.

Pani Borkowska rolę wygadanej kokietki Laury oddała żywo, z zamaszystą ekspresyą, która ściągnęła jej oklaski widzów. Pan Grubiński jako Edwin miał szczerze komiczne chwile. Inni artyści blado grali blade role.

Kazimierz Łuniewski.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Opis ryciny kolorowej.

F. 1. Ubranie spacerowe. Suknia z materyi srebrno-popielatej w paski, zakończona u dołu wązkiem plisowaniem. Paletocik z czarnego kaszmiru, przybrany koronką i kokardami. Kapelusz popielaty filcowy, odpowiedni do koloru sukni, przybrany kwiatami i czarną aksamitką spuszczoną w długich końcach, z których jeden przypięty jest kokardą na ramieniu.

F. 2. Ubranie spacerowe. Suknia koloru mchu, z materyału wełnianego, z gładkim stanikiem z baskiną i tuniką z przodu, ma u dołu bardzo suty garnirunek, złożony z dwóch wolantów skośnych marszczonych i jednego plisowanego w środku. Nad tem idzie kilka rzędów buf, przedzielanych pliskami. Szarfa bardzo zręcznie przewiązana łączy tunikę z tyłu. Kapelusz czarny aksamitny, przystrojony kokardami rypsowemi, różą i klamerką z konchy perłowej. Włosy uczesane à la Mozart, przewiązane różową kokardą.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.